

siódemka



Szkolna gazetka Zespołu Szkół nr 7 w Lublinie ul. Roztocze 14
29 stycznia 2009 roku, nr 7



Życzymy wszystkim lenistwa błogiego jak na załączonym obrazku!

Spis treści

Z życia szkoły.....	2
Reportaże, wywiady.....	3
Zbiór piór.....	9
Kulturalia.....	13
Kraina śmichów.....	15

Stopka redaktorska

Katarzyna Łoś – redaktor naczelny
Klaudia Kozak, Aneta Urban, Karolina Wilczyńska, Joanna Wojtaś – dziennikarze
Marta Mocarska – skład gazetki
Justyna Kierepka – opiekun gazetki

Z życia szkoły

Wigilijnie

Tydzień przedświąteczny obfitował w klasowe wigilie. Codziennie na zaplechach pracowni zalegały sterty śledzi w oleju i śmietanie, kartoniki z barszczykiem i pachnące wyśmienicie makowce. Uczniowie i wychowawcy z radością przeżywali „pierwszą gwiazdkę”, a już w szczególności trzecioklasiści, dla których

była to ostatnia wspólna wigilia. W większości klas było tak, jak podczas tradycyjnej wieczery wigilijnej: dzielenie się opłatkiem, słowa *Ewangelii*, kolędy. Wśród gimnazjalistów panowało również ożywienie wywołane konkursem na najpiękniej przystrójona klasę. Ostatecznie wygrały go klasy III d i I a.

Karolina Wilczyńska, kl. III b



Reportaże, wywiady

„Gdy będziesz miał przyjść na przykład o czwartej po południu, już o trzeciej zacznę odczuwać radość.”

„Mały Książę” A. de Saint-Exupery

Nadzieja na końskim jeźdździ grzbiecie



Istnieje bardzo długa lista chorób o typowych objawach, przebiegu i sposobie leczenia. Równie duża grupa chorób nie jest aż tak jednoznaczna. Wysokiej klasy specjaliści, dysponując coraz doskonalszymi metodami badań, często nie potrafią określić, jaki będzie przebieg rehabilitacji narządu ruchu, jak będzie kształtował się rozwój dziecka z mózgo-

wym porażeniem dziecięcym czy Zespołem Down’a. Czy można odebrać choremu człowiekowi nadzieję i radość?

Hipoterapia, jak mówi definicja, jest jednym ze sposobów rehabilitacji. Wyróżnia ją obecność specyficznego terapeuty – konia. Wierchowiec, idąc stępem, zmusza to do pracy mięśnie miednicy, kręgosłup i stawy barkowe dosiadającego go jeźdźca. Mózg odbiera i zapamiętuje te bodźce, co później pomaga w samodzielnym chodzeniu. Hipoterapia wskazana jest szczególnie dla dzieci z chorobami psychicznymi, zaburzeniami wzrokowo-ruchowymi, porażeniami mózgowymi, zespołem Down’a oraz z wadami rozwoju kończyn. Stosuje się ją także u osób dotkniętych autyzmem czy ADHD.

Bardzo dużą rolę pełni koń. Czterokopytni terapeuci często mają za sobą ciężką, bolesną przeszłość. W większości są to zwierzęta uratowane przed „przerobieniem na konserwy”. Odzyskane konie najpierw muszą pokonać lęk przed człowiekiem. Nierzadko pamiętają wiele przykrych doświadczeń, takich jak bicie, głodzenie, strach, których doświadczyły podczas podróży w ostatnią drogę, najczęściej w niehumanitarnych warunkach. Zwierzęta muszą ponownie zaufać człowiekowi, co niekiedy trwa nawet kilka miesięcy.

Kiedy już poczują się bezpiecznie, odpłacają się sercem za serce i przywiązują się do ludzi. Niektóre z nich chętnie ćwiczą i pracują z dziećmi, ale muszą wykazywać się szczególnym spokojem i tolerancją.

Cała uwaga jednak skupia się na pacjencie. Często ma on za sobą wiele przykrych przeżyć, związanych z licznymi pobytami w szpitalu, zabiegami, badaniami. U chorych dzieci ciężko zauważyć uśmiech, są zamknięte w sobie i nie chcą wpuścić nikogo do swojego wewnętrznego świata. Na szczęście mali pacjenci w pełni akceptują kontakt z koniem. Przywiązują się do swojego konia, zaczynają traktować go jak członka rodziny. Zwierzę staje się ważnym elementem ich życia, czekają na każde spotkanie, a na zajęciach nie okazują zmęczenia. Konie pozwalają im otworzyć się i rozwijać, jednocześnie stając się najlepszymi przyjaciółmi dzieci.

Sama znam osoby korzystające z tej metody rehabilitacji. Najmłodsza z nich to trzyletnia Iwonka, która urodziła się z zespołem Down'a. Mama przywozi ją na zajęcia dwa razy w tygodniu. Dziewczynka klaszcze z radością w rączki, widząc bramę ośrodka. Celem ćwiczeń na kucyku Maja jest usprawnienie kręgosłupa i kończyn dolnych, żeby dziewczynka mogła normalnie chodzić. Jej mama mocno wierzy w sku-

teczność tej metody. *„Mala nie zna dni tygodnia, jej czas wyznaczają dwa stałe punkty programu. – mówi mama dziewczynki – Pierwszy, którego bardzo nie lubi to środowa wizyta w szpitalu. Drugi, na który zawsze czeka, to spotkanie z Mają i panią Magdą, instruktorką.*

Historię Gosi znam głównie z opowieści. W chwili rozpoznania guza mózgu miała ona siedemnaście lat. Po operacji długo pozostawała w śpiączce. Lekarze nie dawali jej wielkich szans. Po pewnym czasie nawet rodzice przestali wierzyć w możliwość jej wybudzenia. Na szczęście świadomość powróciła, ale pozostały duże przykurcze mięśni i Gosia nie mogła nawet poruszać się na wózku inwalidzkim. Lekarz neurolog zalecił jej terapię z końmi. Rodzice przywozili ją do stajni, gdzie pod czujną opieką instruktorki spacerowała na grzbiecie Modeliny, z którą bardzo się zżyła. Powoli mięśnie dziewczynki rozluźniały się i po kilku miesiącach mogła już siedzieć. Wszyscy zauważyli, że Gosia śmieje się, gdy widzi konia i bez obaw, wytrwale ćwiczy. Po roku pracy Gosia nauczyła się samodzielnie jeździć na wózku i nadal korzysta z hipoterapii.

Nie sposób opisać słowami korzystnego wpływu konia na człowieka. Dopiero obserwując zmiany, jakie zachodzą w pacjentach w ciągu wielu miesięcy rehabilitacji, można uzmysłowić sobie celowość i skuteczność tej pracy. *f.*

Tańczę, więc jestem

„W tańcu, możesz sobie pozwolić na luksus bycia sobą” – napisał niegdyś Paulo Coelho. Ci, którzy tej przepięknej sztuki spróbowali i którzy zaczęli swoją przygodę z tańcem, czasami nie potrafią jej przerwać. Każdy najmniejszy ruch może wyrazić złość, radość, smutek...

Jednakże taniec nie jest tylko sztuką, którą tworzy jedna osoba. Czasem jest on bardziej indywidualny, wyraża wiele emocji pojedynczego tancerza, a czasami jest to choreografia tańczona przez grupę wykonawców. Grupę, która spotyka się na regularnych treningach, by wspólnie zmierzać do wyznaczonego celu, wspierać się nawzajem i pomagać sobie w trudnych chwilach oraz świętować sukcesy. Grupa ta jest pewną rodzaju wspólnotą. Ludzie, którzy do niej należą, z każdym dniem poznają się coraz bardziej, a miejscem ich spotkań nie jest jedynie już tylko sala treningowa.

Mam zaszczyt być członkiem tej swego rodzaju wspólnoty i obserwować kształtujące się codziennie relacje oraz przełamywanie przez poszczególne osoby swoich własnych barier i słabości. Moi koledzy i ja podejmujemy trud, by codziennie stawać się coraz lepszymi. Widzę w niektórych osobach ogromny potencjał, który wystarczy od-

kryć. Jest w grupie jedna szczególnie osoba, która chowa się w ostatnim rzędzie. Nieoszlifowany diament. Nie potrafi pokonać nieśmiałości. Po każdym treningu dostrzegam jednak, że wraz z litrami wylanego potu zrzuca ona z siebie pancerz ochronny. „Kilka razy patrzyłam na nią, gdy tańczyła. Według mnie jest naprawdę dobra, gdyby tylko stanęła z przodu, nauczyłaby się więcej i nie myliłaby tak kroków. Sala jest przecież duża, wszyscy się zmieszczą.” – mówi o nieśmiałej dziewczynie moja koleżanka z grupy.

Spotykamy się wieczorem. Kiedy wchodzę na salę, prawie wszyscy już tu są. Rozmawiają, pokazują sobie choreografię z ostatnich zajęć, powtarzają kroki. Na twarzach niektórych maluje się zmęczenie, na innych – radość, że już tutaj są i mogą – jak się u nas mówi ‘wytupać’ wszelkie porażki dzisiejszego dnia, złość, która zbierała się już od rana. Po jeszcze innych dobrze mi znanych buziach widzę pewnego rodzaju rozochocenie oraz gotowość do wyteżonej pracy i dążenia do doskonalenia swoich umiejętności.

Według mnie każda osoba w tej grupie, odkąd rozpoczęła swą przygodę z tańcem, bardzo się zmieniła. Usiłuję przypomnieć sobie dzień, gdy po raz pierwszy moja noga stanęła na tej sali. Zobaczyłam wiele nowych twarzy, większość była bardzo onieśmielona, tak jak zresztą i ja. Adeptci tańca bali się za-

mienić ze sobą chociaż dwa słowa. Patrzę na nich teraz. Grupowe nieśmiałości, które siedziały cicho jak mysz pod miotłą, sprawują teraz zaszczytną funkcję największych grupowych gadułów. Nie obawiają się już, że ktoś wyśmiejże sposób, w jaki się poruszają, wiedzą, że wszyscy tutaj traktowani są równo, a gdy ktoś dostrzeże czyjś błąd nie wytyka go palcem, lecz dyskretnie stara się go wspólnie z kolegą poprawić. W mojej opinii postawa ta jest wspaniała. Wiem, że w każdym momencie, gdy pomyślę się czy potknę, ktoś z tych cudownych ludzi mnie złapie.

„Obserwuję uważnie tę grupę i widzę, jak z każdym treningiem jej poziom się poprawia - nie chodzi tylko o grupę tancerzy, ale również o poszczególne osoby, które stają się coraz lepsze pod względem technicznym. Więzy między nimi stają się coraz silniejsze, kto wie, może przetrwają naprawdę długi okres? Nie zawsze jest tak kolorowo, jak się wydaje, bywają gorsze i lepsze momenty, lecz oni starają się pomagać sobie w tych gorszych i cieszyć się z lepszych. Najszerszą prawdą jest, że sztuka, a w szczególności taniec, jest w stanie połączyć całkiem odmienne ludzkie osobowości.” – opowiada o grupie pani trener.

Trening się kończy. Spoglądam na innych i widzę zmęczonych ludzi, którzy z satysfakcją, niektórzy nawet z niedosytem zmiierzają w kierunku szatni. Widzę wśród nich rozwijające się przyjaźnie, przyszłe sukcesy oraz kilka barier, które dziś po-

konali oraz te, które pokonają niedługo. Wiem, że nie zawsze będzie kolorowo. Jednak gdy stoję na parkiecie i spoglądam w lustro, dostrzegam, jak wiele się tutaj dzieje. Rozwijają się tu ludzkie talenty, nawiązują się przyjaźnie, zdarzają się również porażki. Jestem pewna, że historia tych ludzi na tej sali też się nie skończy.

Aneta Urban, kl. II d



Moja wielka pasja

Akademicki Związek Sportowy składa się aż z 318 klubów w całej Polsce. Został założony w 1909r. Ma także swój herb i flagę.

Moja przygoda z AZS-em zaczęła się niecały rok temu. Od zawsze kochałam sport i aktywnie

uczestniczyłam w różnych zawodach międzyszkolnych. W gimnazjum po raz pierwszy wystartowałam w dyscyplinie skoku wzwyż na Czwartkach Lekkoatletycznych, gdzie udało mi się zdobyć III miejsce z wynikiem 130cm. Mój szkolny trener zaproponował mi, abym zgłosiła się do AZS-u. Tam czekał na mnie już trener, Dariusz Szymczuk. Pierwszy trening był bardzo przyjemny, choć następnego dnia dopadły mnie takie zakwasy, że miałam trudności z chodzeniem. Mimo to za tydzień znowu pojawiłam się na treningu.

Przez pierwsze 3 miesiące trenowałam na AOS- ie, ćwicząc technikę skoku wzwyż. Potem zaś, gdy pogoda się poprawiła, przenieśliśmy się na Stadion Lubelski „Start”, który mieści się przy Al. Zygmunta. Tam już nie było tak lekko. Przyznaję, że nie byłam dobra w biegach długodystansowych, dlatego ćwiczenia wytrzymałościowe były dla mnie prawdziwą torturą. Szczerze - to nadal tak jest.

W maju po raz kolejny pojawiłam się na zawodach. Tamtego dnia była bardzo brzydka pogoda, przez co zawodników też nie było wielu. Wystartowałam w tej samej dyscyplinie co zwykle i o dziwo zajęłam I miejsce! Pokonałam wysokość 140cm i w ten sposób pobiłam swój dotychczasowy rekord. Gdy skończył się rok szkolny, uczęszczałam na treningi już dużo częściej i spędzałam na nich więcej czasu. W sierpniu wraz z całym klubem wyjechałam na obóz sportowy do Olszty-

na. Codzienne treningi (czasem nawet 2 jednego dnia) sprawiły, że moja kondycja znacznie się poprawiła. Po ciężkich ćwiczeniach na stadionie lub w lesie przyjemnie było wejść do chłodnego jeziora położonego parę metrów od akademika, w którym mieszkaliśmy. Z kolei przed treningami spędzaliśmy czas również w miłym gronie, wylegując się na moło i karmiąc łabędzie. Poznałam wielu fantastycznych ludzi i zostałam oficjalnie przyjęta do klubu.

Trzy dni przed końcem obozu nagle trener wziął mnie na trening skoku w dal. Nie wiedziałam dlaczego, myślałam, że może skaczą tylko po to, aby poćwiczyć skoczność, lecz moje wątpliwości szybko zostały rozwiane. Okazało się, że ostatniego dnia miały odbyć się Akademickie Mistrzostwa Polski, a ja mam wziąć w nich udział i to nie wskoku wzwyż, ale w dal. Wystartowałam w nich, były to pierwsze naprawdę ważne zawody. Niestety, nie mogę ich zaliczyć do udanych. Trenerzy też nie byli zadowoleni, gdyż mimo dalekiego skoku zrobiłam podstawowy błąd, przez który nie dostałam się do finału.

Na szczęście trenerowi złość przeszła stosunkowo szybko i podczas jazdy pociągami do Lublina zaprosił mnie i parę innych dziewczyn, które również pierwszy raz startowały w tak poważnych zawodach. Tłumaczył, że początki nie zawsze są proste itd. Na początku września pojechaliśmy na zawody Makro Młodzików do Zamościa.

Aby dodać mi trochę otuchy podczas skakania, przyjechała specjalnie do mnie moja przyjaciółka – Marta. Zgodziła się też być moim osobistym fotografem. W skoku w dal zajęłam 9. miejsce, a do finału zabrakło mi zaledwie 3 cm. Biegłam również w sztafecie 4x100m, ale niestety nie udało się nam dostać do finału. Tydzień później najlepsi zawodnicy naszego klubu wyjechali na zawody, gdzie nasz klub awansował do I Ligi. Zaraz po powrocie odbyło się uroczyste podsumowanie sezonu letniego AZS-u. Było to już 33. spotkanie z kolei. Wyczytywano 25 najlepszych sportowców klubu oraz wręczono statuetkę dla trenera Chmielewskiego, który działa w AZS-ie już 50 lat.

Mijały miesiące, nawet dostałam „kolce” od trenera i dalej trenowałam skok w dal. Zdziwiło mnie to bardzo, bo przecież od zawsze chciałam skakać wzwyż. Postanowiłam porozmawiać na ten temat z trenerem. Na pytanie, czy będę jeszcze skakać wzwyż, usłyszałam zupełnie inną odpowiedź niż chciałam: „Raczej zrezygnujemy całkowicie ze skakania, bo dużo lepiej wychodzi Ci bieganie niż skakanie”. Dla mnie to zdanie było jak nóż w serce. Koleżanki doradzały mi, abym przeszła do innego klubu, gdzie mogłabym skakać wzwyż. Lecz ja nie potrafiłam odejść, mimo że nie widziałam się w dyscyplinie biegowej. W domu ze smutkiem chowałam kolce do pudełka ze świadomością, że od teraz będę w nich jedynie biegać.

Dopiero po rozmowie z prawdziwym sprinterem, który trenował bieganie już od wielu lat, zdałam sobie sprawę, że biegi też mogą być ciekawe. Dało mi do myślenia zdanie, które usłyszałam: „Biegi to nie zabawa, tam nie masz 3 prób, bieg jest jeden i musisz dać z siebie wszystko, nawet jeżeli ma trwać zaledwie kilkanaście sekund”. Wiedziałam, że nie wolno mi się poddać. Mimo paru nieprzyjemnych zajęć z czasem pokochałam płotki i bieganie.

Podczas obserwowania mojej koleżanki płotkarki, która była nie do pokonania na dystansie 400m przez płotki, postanowiłam, że z czasem też taka będę. Bardzo bym chciała wystartować w Mistrzostwach Polski Juniorów właśnie w tej dyscyplinie. Przed tym czeka mnie bardzo dużo pracy. Ale wiem jedno. Nie poddam się!

Choć sport nie był dla mnie najważniejszy w życiu, stał się moją pasją i będę dążyć do zdobywania jak najlepszych wyników. Nie liczy na mnie jedynie trener czy rodzice, lecz cały klub i wszyscy jego zawodnicy, bo mimo że startujemy w dyscyplinach indywidualnych i rywalizujemy ze sobą, to jesteśmy drużyną. Drużyną AZS-u. Liczy się dla nas klub, a dla klubu liczymy się my.

Zapraszam wszystkich kochających sport tak jak ja, aby wstąpili do AZS-u, bo to nie są jedynie ciężkie treningi, lecz również dobra zabawa.

Paulina Miziak, kl. III c

Zbiór piór, czyli potyczki młodych z literaturą

Criminal with a feminine touch

He started the story. It was just as McMillan had told some time ago. Everything about the renovation and all those obstacles with tidying and airing rooms.

- I was ill, it started one week before the refitting and has lasted almost till today.

- Is that all?!

- Hmm, my colleagues told me that our boss has found a body and that's all.

- Nothing else?

- I've just told you that I'm ill and I haven't been at work.

- OK, that's all. Thank you.

- Thank you too.

He left. It was clear from Mike's face expressions he considers him as fool. However he started humming Red Hot Chili Peppers' song:

'If I had a clue I would know exactly what to do..'

[Oh my God or whatever. It's all so stupid. Mike Spoor is sitting at the Police Department all alone or maybe with some foolish people. What the hell is that? If working as a detective looks like that I don't want to have this kind of job anymore. I know that story is getting quite stupid but that's my imagination's fault.]

Next witness opened the door slowly and told shyly:

- Goo... Goo... Good mo... morning.

- G.o.o.d. a.f.t.e.r.n.o.o.n. - Mike

Spoor corrected his mistake and was also trying to stammer as much as it was possible. Believe me, that isn't so easy.

- I came here - now, the witness started talking as a normal one - My name's Pete Swan. Better known as Swan of Boston.

[Yea... Just as Shakespeare - Swan of Avon.]

- Respect, nigga - he cleared the throat - Yea, I see. Can you tell me something about the murder?

- The only person who was there was Mr. McMillan. He told us he was there at 5 p.m., at least. We all come at 9 or 10 when police was already there. Don't you ask us questions like that 'cause we don't know the answer.

- OK. Everything is clear for me except one thing: who is detective in here?! Me or you? I've got some doubts who's asking questions! So could you shut your mouth up, please?

- I'm sorry. Any other questions? - nervous smile appeared on his face. Mike Spoor was laughing at him inside but he didn't want to show it.

by Kejt Moss

2 godziny

*Niniejsze opowiadanie dedykuje
Magdzie Garczyńskiej, bez której by
ono nie powstało.*

Magda otworzyła oczy, lecz wszystko spowijała ciemność spowodowana przepaską na oczy i jak się domyślała, brakiem okien. Czuła się niewidoma i głucha. Nie wiedziała, co się z nią dzieje, gdzie jest, co się stanie. Próbowwała się poruszyć, bez skutku – była przywiązana, ale nie miała pojęcia do czego. Wokół panowała nieprzenikniona cisza, nie dochodził tu żaden dźwięk. Czuła się jak pacjentka szpitala psychiatrycznego – skrepowana, odizolowana, ubezwłasnowolniona. Pamiętała jednak każde zdarzenie z dzisiejszego dnia (a przynajmniej miała nadzieję, że to wciąż 20 maja). Ostatnie, co zarejestrowała, było wdychanie tego jakby nieco cięższego powietrza i wirujący jej przed oczami, rozmazany świat. W tym momencie do pomieszczenia ktoś wszedł i pstryknął włącznikiem światła. Podszedł do Magdy i przyłożył dwa palce do jej szyi. Wzdrygnęła się. Po skórze palców i sposobie, w jaki ją dotknął, wywnioskowała, że to około czterdziestoparoletni mężczyzna o bezwzględnym charakterze. Czuć było od niego wodę kolońską, lecz nie z rodzaju tych najdroższych. Zdjął jej z oczu chustkę i spojrzął na nią. Magda zamrugała parokrotnie, by

przyzwyczać wzrok do światła i z wrogością przyglądała się jego oczom. Próbowwała coś powiedzieć, ale taśma na ustach całkowicie to uniemożliwiała. Wściekła i jednocześnie śmiertelnie przerażona odwróciła głowę i z całej siły zamknęła oczy. Wtem usłyszała jadowity, pełen sarkazmu i szyderstwa chrapliwy głos:

- Księżniczkę umieszczono na wysokiej wieży i zamknięto, ale przyjechał książę na białym rumaku i ją uratował. Lubisz takie bajki? Romantyczni kochankowie i te wszystkie bzdury o miłości? Bo ja wręcz nienawidzę. Za dużo tam tego „ach, och”. Słyszałem jednak, że masz chłopaka, więc chyba lubisz. Nie martw się jednak, bo już niedługo nie będziesz musiała znosić tych, bądź co bądź, spartańskich warunków. Na razie Ci nic nie powiem, bo jeszcze byś coś wykombinowała, a na tym nam najmniej zależy. Przyznam, że jesteś sprytna. – Magda odwróciła głowę i spojrzała na młodą kobietę. – Sposób w jaki rano pozbyłaś się ogona i twoje logiczne myślenie zrobiły na mnie wrażenie. Nie jesteś kolejną debilną pasującą do naszej kolekcji i właśnie tu się myliłem. Myślałem, że jesteś taka sama jak one – odmóżdżone lansiarzy z bogatych domów, naiwne i ufne jak dziecko. Grunt, że zawsze przygotowuję plan awaryjny i w twoim przypadku po raz pierwszy musiałem z niego skorzystać. Byłbym zapominał... - w tym momencie podszedł

do niej i zerwał jej z ust taśmę, dokładnie taką samą, jaką skleja się papierowe kartony w OBI. Dotkliwy ból związany z odrywaniem się kleju od skóry rozpalił całe jej ciało. Miała ochotę zamordować tego człowieka.

- Boże, co z ciebie za zwichrowany sadysta! Kim ty jesteś?! – warknęła dosyć głośno, kiedy odzyskała zdolność mówienia.

- Jeśli już musisz wiedzieć, to mówią na mnie Jesper. A sadysta ze mnie żaden. Wolałabyś cały czas mieć skleione usta?

- Co zamierzasz ze mną zrobić? – zapytała dziewczyna ze złością.

- Jakbym cię oświecił, to musiałbym cię zabić. A uwierz, że mi to wybitnie nie na rękę. – chrypliwy głos mężczyzny przesywał całe jej ciało dreszczami.

- Jak masz tak chrypieć, to sobie Cholinex weź, bo twój głos jest absolutnie wkurzający i nie dziwię się, że podwładni nie chcą cię słuchać. I z łaski swojej nie nachylaj się nade mną, bo mnie zarazisz. A skoro nie chcesz mnie zabijać, to mów, co ci chodzi po głowie. I bynajmniej nie przekonuj mnie, że wszy.

- Zawsze jesteś taka cięta?

- Zawsze, kiedy muszę. – Magda wiedziała, że Jesper nic jej nie robi, bo sam przyznał, że jest mu do czegoś potrzebna. Postawiła więc wszystko na jedną kartę.

- Denerwujesz mnie.

- Mam to gdzieś. Wzajemnie. I rozplącz mnie z tych zgniłych pasków.

- Nie ma takiej potrzeby.

- Jest taka potrzeba. Jeszcze nie zacząłeś? – odszczeknęła Magda.

- Słuchaj, mała! Nie pyskuj, bo stracę nad sobą panowanie, a wtedy za siebie nie odpowiadam. – warknął Jesper.

- A kto? Twój księgowy?

Mężczyzna pochylał się nad dziewczyną i wymierzył jej siarczysty policzek. *cdn.*

Karolina Wilczyńska, kl. III b

Anioły

Tam na górze są istoty piękniejsze od wiosennych kwiatów,
jaśniejsze od promieni słonecznych,
lżejsze od porannej mgły.

Gołym okiem nie dostrzeżesz ich,
choćbyś chciał.

Dla ciebie układają słodkie sny,
abyś spał.

Nie wysilaj się, nie ma ich w pobliżu,
choć widzą każdy twój krok.

Ich szaty z miłości utkane fa-
lują na wietrze.



Za słaby jest twój wzrok.
Musisz wierzyć, że są, bo one wierzą
w ciebie.
Pamiętaj to, a może kiedyś dojrzysz
na spowitym nocą niebie ich uśmie-
chy.
Które wysyłają umiłowanym lu-
dziom
za pośrednictwem gwiazd.

Justyna Flis, kl. III a

oto jestem ja
mam jeszcze całe życie aby to zrozu-
mieć
ale robię to teraz
w fałszywej zimie pomieszanej z
prawie wiecznym słońcem
próbuję zrozumieć czy w końcu le-
piej było nie zrezygnować
oto cała ja
zawsze zaczynam dobrze i nie
umiem skończyć równie doskonale
robię znów rzeczy które miały po-
móc
by nie upaść nie płacić znów za te
same błędy
wiedz że jeśli wysuwa się na przód
kawałek serca

jest to moje serce
ty kończysz ze mną bo tak wygod-
niej
ja żeby nie umrzeć
but without you i'm nothing
oto jestem ja
nie jestem bynajmniej do zapomnie-
nia
musisz mi wierzyć
chcę ci powiedzieć że ja plus ty w
sumie wychodzi "my"
ja roztargniona i ty perfekcyjny
tamte dni intensywne stały się dnia-
mi nie do powtórzenia
ale wiedz kochanie
że brzydka pogoda to nie zawsze bu-
rza
że jesteś pogodą niesprzyjającą
którą zdecydowałam zachować w
sercu
i nie ma znaczenia że tu za chwilę
będzie padał śnieg

Julia Grębska, kl. III d

Kulturalia

Teatro lirico:

LA TRAVIATA

Dnia 29 listopada w hali Globus w Lublinie miało miejsce największe wydarzenie artystyczne roku - premiera sztuki „La Traviata” autorstwa Giuseppe Verdi’ego. Impreza przez kilka tygodni była promowana i nagłaśniana w mediach. Bilety sprzedano na długo przed terminem premiery. Już godzinę przed rozpoczęciem spektaklu pod halę Globus podjeżdżały autokary, liczne samochody osobowe, a wiele osób przybyło na miejsce pieszo. Wszyscy byli elegancko ubrani, z przejęciem czekali na wejście do środka.

Już od pierwszych taktów muzyki na widowni zapanowała cisza. Wszyscy zostali wciągnięci w historię określaną jako smutny happy end wielkiej miłości. 23-letnia Violetta Valery była bardzo nieszczęśliwą osobą. Ukrywała jednak przed wszystkimi tę informację, jak i fakt, że cierpiała na nieuleczalną chorobę. Na jednym z przyjęć kurtyzana poznała poetę, Alfreda Germont’a, który darzył ją gorącym uczuciem. Wówczas postanowiła zmienić swe życie i wraz z ukochanym zamieszkała w willi pod miastem, gdzie żyło im się bardzo dobrze. Po pewnym czasie stan Violetty pogorszył się, a z braku pieniędzy zmuszona była sprzedać swoje skarby. Słyszac to

Alfredo postanowił znaleźć pieniądze i wyruszył do miasta. W tym czasie do willi przybył ojciec młodzieńca – Giorgio Germont. Zażądał, aby kobieta zostawiła jego syna, z powodu zaręczyn córki. Twierdził, że nie doszłyby one do skutku, gdyby narzeczony dowiedział się, z kim żyje jego przyszły szwagier. Violetta zgodziła się na poświęcenie w imię miłości do Alfreda. Młodzieniec wyruszył na poszukiwanie ukochanej i znalazł ją na balu u Flory, jej przyjaciółki. Tam wygrał duże pieniądze w karty i w przypływie złości obraził barona Douphol’a. Violetta, aby uspokoić Alfreda i wyprosić go z domu przyjaciółki, oświadczyła, że kocha barona. Te słowa doprowadziły mężczyznę do szału. Alfredo wyszedł, rzucając kobiecie pod nogi wygrane pieniądze jako zapłatę za chwile spędzone razem. Po tym zajściu Violetta poczuła się gorzej. Porzuciła życie towarzyskie i wraz ze swoją opiekunką spędzała ostatnie chwile w smutku. W tym czasie Alfredo dowiedział się, jaki był prawdziwy powód ucieczki ukochanej. Wraz z ojcem pojechał do niej, by wziąć ślub. Uradowana jego przybyciem Violetta próbowała ukryć chorobę, ale nie miała już sił. Umarła w jego ramionach ze świadomością, że jest obok niej ukochany.

W lubelskim spektaklu najbardziej zachwyciła mnie choreografia. Doskonale przygotowany balet

nagradzany był gromkimi brawami po każdym występie. Szczególnym aplauzem widownia podziękowała za pokaz tańca flamenco. W niezwykle kostiumy ubrani byli nie tylko soliści, ale również postacie drugoplanowe, balet i chór. Scenografia każdego aktu była bardzo starannie przygotowana. Moją uwagę szczególnie zwróciła fioletowa suknia Violi, w której solistka wyglądała wspaniale. Ogromną pracę wykonał zespół akustyków. W każdej części sali muzyka była dobrze słyszalna. Dzięki temu wysiłek orkiestry mógł być doceniony. Siedziałam na tyle blisko, że widziałam wyraźnie każdy ruch smyczka czy batuty dyrygenta. Urok przedstawienia psuła trochę hala sportowa. Brakowało tam prawdziwej atmosfery teatru. Pewnego rodzaju utrud-

Wielka sława to żart!

„Baron cygański” to operetka stworzona przez Johanna Straussa, wiedeńskiego kompozytora. Osią fabuły jest miłość pewnego bogatego młodzieńca, Barinkaya, do pięknej cyganki, Saffi. Jednak jego sąsiad pragnie ożenić szlachcica ze swą córką, Arseną. Rozpieszczona pаниenka stawia warunek, że wyjdzie jedynie za barona. Tymczasem Barinkay poznaje Saffi, która wkrótce okaże się księżniczką...

Historia osnuta jest wokół wątku poszukiwania skarbu. To, co w spektaklu przygotowanym przez lubelski Teatr Muzyczny rzuca się w oczy widza, to z pewnością barwne

nieniem, szczególnie dla osób starszych, był brak szatni. Na małych krzesłach trudno było zmieścić płaszcze, szaliki i czapki. Niestety w mniejszym budynku na pewno wszyscy by się nie zmieścili, bo wszystkie miejsca i dostawione krzesła były zajęte.

Opinie widzów były jak zwykle bardzo zróżnicowane. Część z nich zachwycała się skalą przedsięwzięcia, piękną muzyką, a przede wszystkim wspaniałym sopranem Joanny Woś. Inni krytykowali miejsce wystawienia opery, brak bogatej scenografii czy teatralnej atmosfery. Wszyscy jednak byli zgodni, że temu olbrzymiemu wyzwaniu zespół artystów sprostał po mistrzowsku.

f.

stroje, odzwierciedlające folklor cygański. Malownicza i z rozmachem przygotowana sceneria przeniosła mnie wprost do miejsca akcji – taboru cyganów.

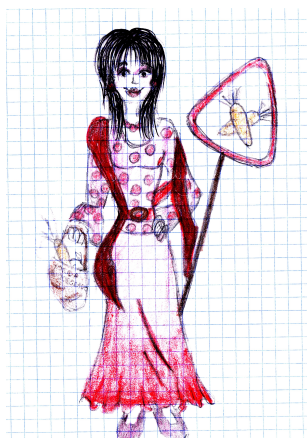
Największe wrażenie wywarły na mnie dwie aktorki, a razem utalentowane śpiewaczki. Jedna z nich (Małgorzata Rapa) wcieliła się w rolę rozkapryszonej Arseny, która dźwięcznie brzmiącym sopranem śpiewała o swych wymaganiach względem przyszłego małżonka. Druga zagrała starą cyganicę, opiekunkę Saffi – Katarzynię Żychowskiej, doświadczonej aktorce, nie brakuje charyzmy i potężnego głosu, którym umie poruszyć widza i oddać emocje. Wreszcie wspomnę o muzy-

ce i mile brzmiących dla ucha ariach, z których najsłynniejsza powracała w ważnych momentach akcji i stanowiła puentę całego spektaklu – „Wielka sława to żart”. A muzyki samego mistrza Straussa nie trzeba rekomendować. Na scenie rozbrzmiewają zatem

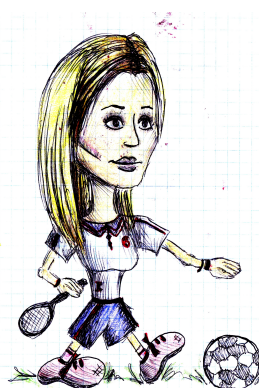
dźwięki wiedeńskiego walca, zagra-
ne przez orkiestrę pod batutą Jacka
Bonieckiego, który zebrał gromkie
brawa od publiczności. To był spek-
takl pełen emocji, kolorowych stro-
jów i przepięknej muzyki.

Kraina chichów

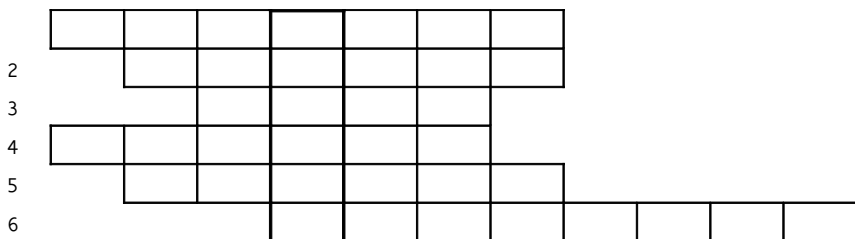
Siewcy wiedzy okiem uczniów



Oto pani Beata Ochnicka. Nauczycielka techniki, mająca zamiłowanie do kolorowych, fantazyjnych strojów i dodatków. Niczym wyborny fechtmistrz używa swojego języka do ciętych ripost. Nigdy jednak nikogo nimi nie rani, a z klasy podczas jej lekcji dobiegają od czasu do czasu salwy śmiechu i nikt nie musi salwować się ucieczką, bowiem pani Ochnicka emanuje gorącą temperaturą... swego uśmiechu☺



Rysunek przedstawia panią Izabelę Trybalską – Siłakiewicz. Uczy przedmiotu, na którym uczniowie tłumnie usprawiedliwiają się „paluszkami i główkami” oraz innymi śmiertelnymi chorobami, byle tylko uniknąć wysiłku fizycznego. Na pierwszy rzut oka widać jej zamiłowanie do sportu. Pani Trybalska nie jest na szczęście dla cherlawej młodzieży bezlitosną wuefistką katującą pompkami i skazującą na biegi i inne tortury☹, tylko nauczycielem okazującym pomoc i cierpliwym (anielska ta cecha koresponduje z takimż wyglądem). A swym uśmiechem potrafi wyleczyć nawet bolące paluszki i główki☺



1. White with black buttons and carrot instead of nose.
2. One of the most popular sports we can do in the winter.
3. White, coming from the sky.
4. Put on the feet on the ice sink.
5. "Dashing through the snow, in a one-horse open ..."
6. Rudolph, red-nose ... (animal of Santa Claus)

Dowcipy:

Podchodzi student do okienka na stolówce i mówi:

- Dwie parówki proszę.

Z końca sali rozlega się głos: „Burżuj, burżuj!”. A student dodaje:

- i cztery widelce.

Pierwsza lekcja języka niemieckiego:

- Czy zna ktoś jakieś zdanie po niemiecku? Zgłasza się Jasio:

- „Postrafiam pielkrzymuf s Polski”.

- Adasiu, dlaczego zjadłeś ciastko należące do Kasi?

- Bo ja nie wierzę w przeznaczenie.

